
KRONIKA

- **ZOFIA WĘŻYK-MACHOWSKA (14 I 1923 – 26 IX 2019)**

Mija właśnie rok od jej śmierci. Z jednej strony to już wystarczająco odległa perspektywa, by spojrzeć na życie zmarłej osoby, ale dla piszącego te słowa syna to wciąż bardzo krótki czas i poważne wyzwanie, nie tylko ze względu na najbliższe pokrewieństwo, lecz również pisarskie dokonania matki, która na łamach „Zesłańca” opublikowała od 2012 roku kilka tekstów. Ostatni z nich, zatytułowany *Najdłuższa podróż Jadwigi-Godlewskiej-Węzyk*, poświęciła swojej matce. Niemal równocześnie w „Skalpelu”, piśmie Wojskowej Rady Lekarskiej, artykułem *Lekarz z zamięłowania* upamiętniła swego ojca, Andrzeja Węzyka. Zamknęła obiema publikacjami długie dziewięćdziesięcioletnie życie, wracając do osób, które dały mu początek i z którymi do końca odczuwała głęboką więź, mimo że od ich śmierci upłynęło ponad pół wieku.



Zofia Węzyk-Machowska
w roku 2018.

*Tylko dlatego, że moja mama nie mogła się zaaklimatyzować w hermetycznym środowisku twierdzy w Modlinie, gdzie po pierwszej wojnie światowej na jakiś czas trafił mój ojciec, lekarz wojskowy, urodziłam się na Ziemi Nowogródzkiej w mieście Baranowicze, dokąd w 1929 roku przeniesiono go na własną prośbę – napisała w pierwszym zdaniu wydanej w 2010 roku autobiograficznej książki *Retrospekcja. Z Baranowicz przez Syberię do Gdańska*. Ludzkie losy zataczają czasami ogromne koła w czasie i przestrzeni. Po parunastu latach i tysiącach kilometrów – po syberyjskiej zsyłce, Gdańsku i Wrocławiu – moja mama ostatecznie zamieszka i większość życia spędzi w Warszawie, z której kiedyś jej rodzice przenieśli się, przez Modlin, na Kresy. Do Baranowicz, w których spędziła zaledwie dwanaście lat, bardzo długo będzie wracać wyłącznie myślami i wspomnieniami, nie dopuszczając możliwości fizycznych odwiedzin jeszcze długo po tym, kiedy takie podróże stały się, wskutek zmian politycznych, możliwe. Wzniesiony przez rodziców obszerny dom z ogrodem, stojący przy ul. Staszica w obrębie tak zwanej Kolonii Urzędniczej, zapamiętała z najdrobniejszymi szczegółami. W którymś momencie zacząłem ją nawet podejrzewać, iż konfabuluje, usiłując w ten sposób wrócić do utraconego raju dzieciństwa. Wydawało mi się nieprawdopodobne, że można po wielu dekadach opisywać detale srebrnej łyżeczki tkwiącej w cukiernicy na stole w jadalni. Dzisiaj zdaję sobie sprawę, że była to nie tylko kwestia fenomenalnej pamięci. To również, a może nawet przede wszystkim, wynik nagłego i brutalnego przerwania szczęśliwej młodości. W nocy z 19 na 20 czerwca 1941 roku, a zatem na dwie doby przed atakiem Niemiec na Związek Radziecki, do rodzinnego domu wchodzi NKWD, aresztując ojca, a żonie odczytując nakaz przesiedlenia razem z córką w głąb ZSRR na dwadzieścia lat. Już po paru godzinach ruszyły w towarowym wagonie z wstawionymi piętrowymi pryczami w swoją najdłuższą podróż. *Nie mamy złudzeń, to naprawdę koniec naszego życia, takiego, jakim było dotąd i już nie będzie*. Zabierały ze sobą trochę rzeczy, ale przede wszystkim pamięć miejsca i czasu, który zwłaszcza z dziecięcej jeszcze perspektywy stał się swoistym złotym wiekiem.*

O tym, że zbliża się jego kres, boleśnie przekonali się już wcześniej. Chociaż rodzinę ominęły trzy pierwsze wywózki Polaków, ale 18 maja 1940 roku NKWD aresztowało w Lidzie starszego o osiem lat brata mojej matki, Bogusława Wężyka, absolwenta I roku Państwowej Szkoły Morskiej w Gdyni. Nigdy więcej go nie zobaczyła. Kiedy 22 stycznia 1941 roku razem z matką pojechały dorożką-saniami do baranowickiego więzienia, w którym osadzono brata – mając nadzieję, że dzięki cudem zdobytej przepustce dojdzie wreszcie do spotkania – po paru godzinach czekania na 30-stopniowym mrozie dowiedziały się, że 21 stycznia, czyli zaledwie poprzedniego dnia, „wybył w Mińsk”, jak odnotowano na odwrocie przepustki. Wracając pod koniec życia do tych chwil, napisze: *Pamiętam, jakby to było wczoraj...W mojej pamięci przetrwały po dzień dzisiejszy wszystkie szczegóły tamtego bolesnego zdarzenia*. Dopiero po kilkudziesięciu latach okazało się, że kiedy wywożono matkę i córkę, Bogusław od paru miesięcy już nie żył. Skazany za działalność konspiracyjną na karę śmierci podczas wyjazdowej sesji Izby Karnej Sądu Najwyższego ZSRR, został rozstrzelany 17 lutego 1941 roku w więzieniu w Mińsku, a ciało zapewne wrzucono do jednego z licznych dołów w Kuropatach.

Przesiedlenie okazało się w praktyce zsyłką na Syberię. Po trzynastu dniach i trzynastu nocach pociąg zatrzymał się ostatecznie w Aczyńsku w Krasnojarskim Kraju. Tam polskich zesłańców załadowano na furmanki, by przewieźć do odległego o 110 km kołchozu we wsi Ammała. *Nasza podróż przez tajgę w tych warunkach [błoto i meszki] trwała trzy dni doby i była to doprawdy istna droga przez mękę.* Pobyt w kołchozie, gdzie nawet dzieci musiały ciężko pracować fizycznie, trwał dziesięć miesięcy, po których matce z córką udało się zmienić miejsce osiedlenia na Kozulkę, niewielkie miasto położone jeszcze ponad 60 km dalej na wschód, bliżej Krasnojarska, dokąd tym razem, a było to na początku marca, docierają saniami. Przez kolejne dwa i pół roku będą tu mieszkać w nieco lepszych warunkach, ale trudy codziennego bytowania, a zwłaszcza chroniczne niedożywienie, robią swoje i młoda dziewczyna, w którą na Syberii zaczyna się zmieniać dziewczynka z Baranowicz, coraz częściej i poważniej zapada na zdrowiu. Nie wiadomo, czym by się to skończyło, gdyby nie nagła odmiana w połowie września 1944 roku, kiedy Jadwigę z Zofią zakwalifikowano do „podróży na Zachód”. Front doszedł już wtedy do Wisły, ale towarowy pociąg zawiózł je nie do Polski, lecz na Ukrainę, do miasta Zaporozże, w pobliżu którego mieszkały i pracowały w podchozie – pomocniczym gospodarstwie przedsiębiorstwa odbudowującego wielką elektrownię i tamę na Dnieprze. Choć dalej nie było łatwo, to praca na roli nie przekraczała już fizycznych możliwości, a jedzenie, mimo oficjalnego racjonowania, było wręcz nieporównywalne z syberyjską monotonną i niekiedy wręcz głodową dietą. Po ponad roku do matki i córki dotarła z Warszawy radosna wiadomość, że mąż i ojciec żyje, a nie wiedziały o nim nic od chwili aresztowania, oraz że stara się sprowadzić je do Polski. Musiały jednak poczekać jeszcze dwa miesiące, by w ramach zorganizowanego zbiorowego wyjazdu powrócić do ojczyzny. Po raz trzeci i na szczęście już ostatni wsiadają do towarowego wagonu, by 12 lutego 1946 roku przekroczyć w Medyce powojenną granicę, a następnego dnia dotrzeć do Gdańska, gdzie rodzina spotkała się po niemal pięciu latach rozłąki, wciąż jednak nic nie wiedząc o tragicznym losie Bogusława.

Po wczesnej młodości we wschodniej Polsce, na Syberii oraz Ukrainie kolejnych kilka lat spędzi Zofia na Ziemiach Odzyskanych. Z jednych więc kresów trafia na drugie. W przeciwieństwie do większości repatriantów, których los rzucał albo na Pomorze, albo na Śląsk, przebywa czas jakiś i tu, i tam. Mieszkając z rodzicami w Gdańsku-Wrzeszczu, w ciągu niespełna dwu i pół roku kończy III Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcące przy ulicy Topolowej. Tempo jest błyskawiczne, a wysiłek ogromny, chodzi bowiem do klasy, w której materiał przerabiany normalnie przez cały rok szkolny trzeba opanować w trakcie jednego semestru, a do tego musi indywidualnie nadrobić pięć lat straconych dla nauki. Gdy uzyskuje maturę w 1948 roku, ma ukończonych dziewiętnaście lat, tak jakby w jej edukacyjnym życiorysie nie było długiej przerwy.

Zaraz potem zaczyna studia w Akademii Lekarskiej, ale wybór podyktowany profesją ojca nie okazał się trafny i po upływie roku podjęła ważną decyzję, porzucając nie tylko medycynę, lecz również Gdańsk. Zdaje egzamin na Wydział Prawno-Administracyjny Uniwersytetu Wrocławskiego i po raz pierwszy prowadzi samodzielne życie. Na trzecim roku wyszła za mąż, co wiązało się z przeniesieniem do stolicy, gdzie po przerwie spowodowanej

urodzeniem dwóch synów, Marka i Janusza, skończyła studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego, a potem, po odbyciu aplikacji arbitrażowej, zdała egzamin państwowy na radcę prawnego.

Pracowała, najpierw jako ekonomista, potem jako radca prawny, w wydawnictwach, firmach spedycyjnych i hurtowniach. Z osobami tam poznanymi utrzymywała serdeczną więź do końca, mimo przejścia na emeryturę. Bardzo też sobie ceniła pamięć okazywaną przez Okręgową Izbę Radców Prawnych – dopóki mogła, uczestniczyła w organizowanych przez nią imprezach i wycieczkach, przyjmowała też co roku w domu przedstawicieli najmłodszego pokolenia radców, pozostających potem pod wrażeniem seniorki i dokumentujących te kameralne spotkania na łamach czasopisma „Temidium”. Swój zawód wykonywała zawsze z wielkim zaangażowaniem i sukcesami, które zawdzięczała między innymi zdolnościom pisarskim.

Jeszcze na samym początku zesłania, jako dwunastoletnia dziewczynka, zaczęła prowadzić pamiętnik. Pisała piórem w szkolnym zeszytce w trzy linie, a ołówkiem na niezadrukowanych powierzchniach luźnych kartek pochodzących z radzieckich książek, zawsze skrzętnie wykorzystując każdą linię i każdy pusty fragment. Spoglądając na coraz bardziej wyrobione pismo i zaznajamiając z sugestywną relacją, trudno czasami uwierzyć, że wyszła spod pióra tak młodej osoby. Ciężkie warunki i bolesne przeżycia sprawiły, że rozumiane w głębszym sensie dzieciństwo szybko się skończyło. W dniu pierwszych obchodzonych na zesłaniu urodzin odnotowała: *Skończyłam 13 lat i czuję się dorosłą*. Szkoda, że ten niezwykle dokument nie zachował się w całości, nawet jednak te kilkanaście stron, które ocalały, sprawiły, że kiedy sześćdziesiąt pięć lat po zesłaniu zaczęła pisać wspomnienia, dysponowała pokazną bazą źródłową. Wprawdzie wcześniej Syberia pojawiała się wiele razy w rodzinnych opowieściach, a nieliczne przedmioty, które odbyły długą podróż tam i z powrotem, zyskały rangę domowych relikwii, ale dopiero pytanie wnuczki, „Babciu, jak tam było na Syberii?”, skłoniło ją do nadania swym wspomnieniom książkowej, a więc obszernej i trwałej formy. Włożyła w nią mnóstwo pracy i serca, czego byłam świadkiem jako redaktor *Retrospekcji*. Książka zawiera nie tylko relację z zesłania, lecz również obszerną historię rodziny. Zajął się nią już wcześniej, publikując w latach dziewięćdziesiątych w „Pro Georgia”, wydawanym przez Uniwersytet Warszawski naukowym roczniku poświęconym problematyce gruzińskiej i kaukaskiej, dwa artykuły o losach polsko-gruzińskiej rodziny Godlewskich – była bowiem, od strony matki, w jednej czwartej Gruzinką.

Rozpisała się po 2006 roku, gdy pożegnała po prawie pięćdziesięciu pięciu latach swego męża, najlepszego przyjaciela i opiekuna, Tadeusza Machowskiego, przez całe zawodowe życie związanego z Wojskową Akademią Techniczną, współtwórcę pierwszych polskich laserów. Stała się, jak sama o sobie mówiła, „kronikarzem mimo woli”, pisząc, i często nieformalnie posługując się podwójnym nazwiskiem Wężyk-Machowska, nie tylko o rodzinie czy przyjaciółach, lecz także o obcych osobach, które spotkała na swej drodze i z którymi umiała nawiązywać trwałe i głębokie relacje. Bibliografia jej prac liczy ponad dwadzieścia pozycji. Zadebiutowała w 1982 roku w tygodniku „Stolica” krótkim artykułem poświęconym Anieli Godlewskiej, matce dwóch poległych w walkach powstańców warszawskich –

jednym z nich był słynny „Antek Rozpylacz”, czyli Antoni Godlewski, brat cioteczny Zofii Wężyk-Machowskiej. Wiadomość o opublikowaniu ostatniego tekstu trafiła do jej skrzynki mailowej dosłownie w przeddzień śmierci. Podzielone na cztery części *Osiem dni w Tbilisi. Moje impresje* ukazały się w wydawanym na uchodźstwie „Magazynie Polskim” i są opisem wyprawy do Gruzji, o której przez całe życie opowiadała, potem pisała, o której zawsze marzyła, ale na własne oczy zobaczyła dopiero w 2012 roku, gdy miała już ponad osiemdziesiąt lat.

Redaktor naczelna periodyku, wymieniając w pięknym wspomnieniu o zmarłej jej publikację, przywołała wydrukowaną na tych samych gościnnych łamach inną *Podróż do przeszłości*, o rok wcześniejszą i geograficznie bliższą, podczas której odwiedziła rodzinne Baranowicze, gdzie spędziła szczęśliwe dzieciństwo oraz tragicznie kojarzące się Mińsk i Kuropaty. Miałem ogromną przyjemność, mogąc jej towarzyszyć i opiekować się podczas obu wyjazdów, na Białoruś i do Gruzji, współuczestnicząc w czasami radosnych, a kiedy indziej bolesnych powrotach do dawno minionych czasów i miejsc. Wciąż mam przed oczami każdy z tych niezwykłych dni, ale w sposób szczególnie wryły się w mą pamięć dwa wydarzenia i ogromne wzruszenie malujące się wówczas na twarzy mamy.

Kiedy w Baranowiczach wchodziliśmy jako zwykli zwiedzający do Muzeum Krajoznawczego, gdzie spodziewaliśmy się zobaczyć fotografie, ewentualnie plan przedwojennego miasta, nie przypuszczaliśmy, jak bardzo osobistego charakteru nabierze nasza wizyta. Ostatecznie bowiem znaleźliśmy się w gabinecie pracowników naukowych, w którym dowiedzieliśmy się, iż w muzeum przechowywane są „akta rodziny Wężyków”. Okazało się, że przed rozbiórką rodzinnego domu w 1973 roku znaleziono na strychu owinięty w gazetę pakiet z dokumentami, którego nie odkryli funkcjonariusze w noc aresztowania i wywózki. Dzięki temu mama nie tylko poznała nowe fakty z życia swego ojca i dziadka, ale mogła wziąć do ręki należący do ojca krzyż zasługi Polskiego Czerwonego Krzyża, a w chwili tej wydawało się, że odmłodziła o siedemdziesiąt lat.

Podobne emocje pojawiły się w trakcie pobytu w Tbilisi i też były niespodziewane. Kiedy odwiedziliśmy rzymsko-katolicki „polski” kościół pod wezwaniem świętych Piotra i Pawła, w którym rodzice mamy brali ślub, dostałem pozwolenie na przejrzenie archiwum parafialnego przechowywanego w niedużym, trudno dostępnym i dusznym pomieszczeniu nad zakrystią, dla mamy zupełnie nieosiągalnym. Po paru dniach spędziłem tam wiele godzin, wertując setki zapisanych cyrylicą stron i znajdując łącznie pięć wpisów dotyczących rodzin Godlewskich i Wężyków. Radość mamy, której pokazałem wieczorem zdjęcia archiwaliów nie miała granic, żałowała tylko, że kilku ważnych, a nieznanych jej dotąd informacji nie może już uwzględnić w wydanej dwa lata wcześniej *Retrospekcji...* Wielokrotnie odczytywała na głos każdy z wpisów, ale szczególnie poruszyły ją dwa: poświęcający zawarcie małżeństwa jej rodziców oraz podający dzień śmierci i miejsce pochowania ich pierwszego, niespełna rocznego synka. *Zasypiam z myślami o rodzicach i moim maleńkim braciszku, który razem z dziadkiem Antonim spoczął w tutejszej ziemi na Kukijskim Cmentarzu*. Wybraliśmy się tam oczywiście, ale wśród parunastu ocalałych polskich mogił nie było szukanego

przez nas grobu, tak jak nie ma już w Tbilisi otoczonego ogrodem domu rodziny Godlewskich. Podróże z mamą pozwoliły mi przynajmniej w części zrozumieć samotność, na którą, choć rzadko, zdarzało się jej skarżyć po tym, jak w jednym roku i dość niespodziewanie odeszli jej rodzice. Przedwcześnie zmarłego brata nie dane było jej poznać, drugi zaginął, kiedy miała dwanaście lat, a symboliczny pogrzeb mogła mu sprawić dopiero po minięciu ponad pół wieku od śmierci. Nie przetrwał żaden z domów należących do najbliższej rodziny, a paru jej członków poległo i zginęło tragicznie podczas ostatniej wojny. Wywózka na Syberię oznaczała też utratę niemal wszystkich przedmiotów i pamiątek z dzieciństwa, w tym fotografii i dokumentów, te ostatnie trzeba było po powrocie do Polski odtwarzać na podstawie zeznań świadków. Owe doświadczenia, z jednej strony bardzo indywidualne, ale z drugiej będące udziałem jakże wielu kresowiaków, zrodziły ostatecznie potrzebę fizycznych podróży do przeszłości. Wrócimy zatem jeszcze na moment do gruzińskiej wyprawy. Jej kulminacją było drugie wspólne nawiedzenie polskiego kościoła. Życzliwy duchowny pozwolił na zniesienie ksiąg do zakrystii, a tam mama, wodząc palcem po liniach starannego ręcznego pisma, dosłownie dotknęła czasu sprzed swoich urodzin. Potem zaś, ze łzami w oczach, uczestniczyła we mszy odprawionej za jej najbliższych, którzy w tym dalekim od ojczyzny kościele żenili się, byli chrzczeni i odprowadzani na wieczny spoczynek.

Oba powyższe wyjazdy były swoistym ukoronowaniem długiego i niełatwego procesu, w którym ważniejsza od zewnętrznych zmian politycznych była wewnętrzna przemiana. Mama przez długie lata twierdziła, że nic jej nie ciągnie na Wschód, a zwłaszcza do rodzinnego miasta. Już samo znalezienie się na terytorium Związku Radzieckiego długo musiało się jej wydawać ryzykownym krokiem. Bardzo przeżywała, gdy na początku lat siedemdziesiątych podczas samochodowych wycieczek do Bułgarii dwukrotnie przejeżdżaliśmy przez zachodni skrawek ówczesnej radzieckiej Ukrainy. Chociaż minęło prawie ćwierć wieku od powrotu z zesłania i wjeżdżała do ZSRR jako polska obywatelka, dobrze jednak pamiętała, że w dzieciństwie dwukrotnie jej to obywatelstwo siłą zamieniano na radzieckie, a po wojnie przez kilkadziesiąt lat w polskich osobistych dokumentach jako miejsce urodzenia miała wpisywane „Baranowicze (ZSRR)”, do czego potrafili niekiedy nawiązywać pogranicznicy. Musiało to, razem ze świadomością, że między Dniestrem a Jenisejem nie ma żadnej granicy, powodować traumę, którą trudno zrozumieć osobom nie mającym podobnych doświadczeń. Kolejne podróże, całą rodziną na Krym i z młodszym synem Januszem do ówczesnego Leningradu, przygotowały grunt pod przełom, jakim był wyjazd w 2001 roku do Mińska i Kuropat, dokąd pojechała z narzeczoną zamordowanego tam brata, Joanną Stankiewicz-Januszczak, autorką *Marszu śmierci*, wstrząsającej relacji o ewakuacji więźniów z Mińska do Czerwieni. Wreszcie w 2005 roku, wspólnie z mężem, po raz pierwszy od roku 1941 mogła spędzić parę godzin w Baranowiczach, nie znajdując już jednak wyburzonego ponad trzy dekady wcześniej domu.

Zwieńczeniem retrospekcyjnych wyjazdów miała być najbardziej ambitna wyprawa, której pomysł zaświtał mi niedługo po powrocie z Tbilisi. Skoro mama dała radę w ciągu dwóch lat odbyć niełatwe podróże na Białoruś i do Gruzji, co by powiedziała na jeszcze dalszą eskapadę w roku trzecim –

na Syberię? I powiedziała: tak! Wizja powtórnego znalezienia się w krainie, której sama nazwa przez długie lata brzmiała boleśnie, teraz okazała się wręcz pociągająca. Chcieliśmy odwiedzić dosłownie te same miejsca i tak samo dojechać z Polski pociągiem, niemal powtarzając trasę z 1941 roku, tym razem jednak w wygodnym sypialnym wagonie kolei transsyberyjskiej. Niestety, coraz bardziej domagający się operacji drugi staw biodrowy kazał mamie najpierw odroczyć realizację ambitnego projektu, a potem całkowicie z niego zrezygnować. Bardzo tego żałowałem, gdyż będąc wcześniej świadkiem jej powrotów do przeszłości i redaktorem *Retrospekcji...*, miałem pewność, iż powtórzenie najdłuższej podróży byłoby niezwykłym doświadczeniem i zaowocowałoby jeszcze jedną wzruszającą relacją. Oczami wyobraźni widziałem już mamę na pokładzie płynącego po Jeniseju statku i wracającą myślami do szczęśliwych dwóch tygodni, które ze swą mamą, jako opiekunką grupy polskich dzieci z Kozulki, spędziła w lipcu 1944 roku na koloniach zorganizowanych w polskim sierocińcu w Porogu. Właśnie statkiem płynęły tam przez trzy doby w dół wielkiej rzeki z Krasnojarska, a rejs ów i pobyt określała zawsze jako cudowne.

Nie wszystko więc budziło najgorsze wspomnienia i jak niejednokrotnie zaznaczała, miały z mamą dużo szczęścia, także do ludzi, zaczynając od oficera NKWD, który zmusił je do zabrania stosunkowo wielu rzeczy i wręcz rozkazał swoim podwładnym spakować je. Dzięki temu, sprzedając lub wymieniając ów zesłańczy dobytek, mogły przetrwać najcięższe chwile. Nigdy też, nienawidząc represyjnego systemu, nie przeniosła tego uczucia na nacje, pośród których przyszło jej żyć. *W opowieści o tym, jak było na Syberii, nie może zabraknąć wyrazów wdzięczności dla ludzi spotkanych na naszym tułaczym szlaku, od których doznałyśmy wiele życzliwości i niekiedy pomocy. To oni, Polacy, Rosjanie i Ukraińcy ocalili w nas wiarę w Człowieka w tych okrutnych czasach, w których tak licznym przyszło ją utracić.*

Choć późniejsze życie w powojennej Polsce w nieunikniony sposób zaczęło odsuwać na dalszy plan dramatyczne przejścia, efekty Syberii dawały o sobie znać do końca życia mamy. Najważniejszym i wciąż przypominającym było słabe zdrowie, zwłaszcza poważne choroby układu oddechowego wiązane przez lekarzy z ciężkimi warunkami bytowania i pracą ponad siły w młodości. Innym skutkiem wywózki był pewnie podświadomy, ale przejawiający się bardzo konkretnie do ostatnich dni, strach przed głodem. W „pamiętniku dziewczynki”, jak nazwała po latach swe notatki z zesłania, w wielu miejscach pisała o niedoborze czy wręcz braku pożywienia, którego zdobywanie było trudne i zajmowało dużo czasu, a potrawy były z reguły bardzo proste i mało urozmaicone. Do końca życia będzie potem już w swoim domu prowadzić kuchnię urozmaiconą ponad miarę i „produkowała”, jak sama się wyrażała, zbyt dużo jedzenia, poświęcając na to mnóstwo sił i czasu. Często też mówiła, jeśli chodzi o kulinaria, że „coś za nią chodzi”, a kiedy zjadła wreszcie upragnioną potrawę, z reguły dość banalną, była naprawdę szczęśliwa. Zawsze tłumaczyłem sobie te zachowania doświadczeniem setek tułaczycych posiłków, podczas których dziewczynce często musiał stawać przed oczami obficie zastawiony stół w utraconym baranowickim domu, ewokując wspomnienia utraconych smaków i zapachów.

Bardzo długo syberyjskie wspomnienia mamy przeznaczone były dla nielicznych, głównie najbliższej rodziny i wąskiej grupy znajomych. Realia

poprzedniego systemu sprawiała, że w swych urzędowych życiorysach nigdy nie używała określenia „zesłanie”, lecz „ewakuacja w głąb Związku Radzieckiego”. Dzięki przemianom końca lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia mogła wreszcie otwarcie mówić i pisać o Syberii, od razu też zaangażowała się całym sercem w działalność reaktywowanego wówczas Związku Sybiraków, opracowując już na samym początku listę uprawnień, jakie powinna posiadać ta organizacja. Należała do warszawskiego koła „Wola-Bemowo”, będąc przez jakiś czas członkiem jego zarządu i dopóki jej siły na to pozwalały, z przejściem uczestnicząc w spotkaniach, zwłaszcza świątecznych. Zajęła się też tworzeniem narracji do filmów edukacyjnych powstających z inicjatywy Związku Sybiraków, skarżąc się jednak czasami, iż jej praca w tym zakresie nie została właściwie przez związek doceniona. Choć o Syberii głównie pisała, zdarzało się jej także o niej opowiadać podczas publicznych występów, między innymi w warszawskim Muzeum Niepodległości. Sprawność umysłu oraz dar plastycznego przedstawiania rzeczy i wydarzeń zawsze robiły wrażenie na wszystkich, którzy stykali się z nią bezpośrednio. Bardzo cieszyła się, otrzymując Odznakę Honorową Sybiraka i Krzyż Zesłańców Sybiru. Na co dzień realną i wręcz nieocenioną pomocą służyła legitymacja osoby represjonowanej, gdzie wreszcie wpisano „deportacja do ZSRR”. Dokument ten w istotny sposób ułatwiał dostęp do opieki medycznej, bez której mama nie dożyłaby swego sędziwego wieku. Długie życie sprawiło, że nie pożegnał jej w dniu pogrzebu poczet Związku Sybiraków, ponieważ w kole, do którego należała, nie było już praktycznie nikogo, kto mógłby dzierżyć sztandar. Odchodzi ostatni z tych, których zły los rzucił na nieludzką ziemię. Pamiętając o społecznym zaangażowaniu mamy, poprosiliśmy z bratem uczestników pogrzebu, by zamiast przynosić kwiaty i znicze, złożyli datki właśnie na Związek Sybiraków lub Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy. Do dwóch skarbonek trafiło łącznie 800 złotych, z czego 270 do tej ozdobionej godłem związku i kwotę tę przekazaliśmy w imieniu zmarłej Zarządowi Głównemu Związku Sybiraków jako darowiznę na rzecz kwartalnika „Zesłaniec”.

Przyglądając się spuściźnie po Zofii Węzyk-Machowskiej, która przywoływała w swych tekstach zarówno odległe wydarzenia, jak i najświeższe doświadczenia, często jest się pod wrażeniem jej optymizmu – także w najtrudniejszych chwilach potrafiła dostrzec dobro w ludziach i piękno w otaczającym świecie. W całym swym życiu nie chowała uraz, chętnie i po wielokroć wybacząc wyrządzone jej krzywdy. Nie pamiętała ich, choć pamięć miała fenomenalną, z łatwością sięgając do dowolnego okresu swego życia, zarówno wczesnego dzieciństwa, jak i dnia wczorajszego, co nie jest częste u osób w sędziwym wieku. Pisząc i opowiadając o przeszłości, mogła posłużyć się tylko niewieloma ocalałymi z dziejowych zawieruch dokumentami, wśród nich szczególną rolę odegrał syberyjski pamiętnik, przede wszystkim jednak czerpała z nieprzebranych zasobów znakomitej pamięci. Do końca też pamięć ćwiczyła, rozwiązując setki szarad, choć wcześniej, poza krzyżówkami w „Przekroju”, nigdy właściwie tego nie robiła. Do ostatnich chwil zachowała sprawny umysł, jakże kontrastujący z coraz bardziej słabnącym ciałem. Jednym z tego dowodów było absolutne panowanie nad kilkunastoma lekami, które musiała przyjmować. Budziła tym zdumienie i podziw lekarzy. Zdarzyło się nawet, iż w jednym ze szpitali, a leżała w nich paręnaście razy i przeszła ponad

dziesięć operacji, poproszono ją, by sama trzymała przywiezioną z domu małą aptekę oraz samodzielnie rozkładała i zażywała swe dotychczasowe lekarstwa, zaoszczędzając w ten sposób pracy i czasu personelowi.

Swoich bliskich zachwycała recytowaniem poezji, niekiedy utworów naprawdę długich, po polsku i rosyjsku, a rosyjskim – efekt nie szkół, lecz zesłania – władała świetnie. Potrafiła zniecka przypomnieć sobie i zapisać w tym języku, praktycznie bezbłędnie, pełny tekst tęsknej frontowej piosenki, raz tylko usłyszanej w domu kultury w syberyjskiej Kozulce. Potrafiła też ją zaśpiewać, doskonale pamiętając melodię sprzed kilkudziesięciu lat, gdy sama była jeszcze dzieckiem. Głos zawsze miała piękny, a słuch absolutny, co stwierdzono u niej w młodości, lecz zbuntowała się szybko wobec planów kształcenia w tym zakresie. Chętnie za to pisywała wiersze, dla najbliższych i znajomych, z okazji i bez, zawsze niebanalne i o kunsztownych rymach.

W duszy tak naprawdę była artystką, ceniącą różne sztuki i chętnie obcującą z nimi. Miała szczęście, mimo zupełnie innych kolei życia, poznać kilka wybitnych postaci z tej sfery i umiała nawiązać z nimi nić porozumienia, nawet przyjaźń. Pomagała jej w tym rozległość zainteresowań i bardzo subtelne poczucie humoru. Miała dobry gust i chociaż liczne choroby zaczęły w końcu niszczyć jej delikatną urodę, zawsze dbała o swój wygląd, ubierając się elegancko czy wręcz wytwornie. Przykładem kapelusze, które, wzorem swej matki, lubiła i potrafiła nosić. Była naprawdę kobietą z klasą. Nie robiła tego wszystkiego na pokaz, bo i w domowym zaciszu zawsze starała się ładnie wyglądać, a najskromniejszemu posiłkowi nadać miłą dla oka postać. Potrzeba i poczucie piękna przejawiały się też w jej fizycznym otoczeniu, które chętnie przerabiała i poprawiała, parokrotnie przemeblowując swój pokój i bez końca delikatnie modyfikując jego wystrój.

Mnóstwo czytała, wracając czasami do klasyki, ale zarazem nie stroniąc od najnowszej literatury. Poza książkami czytywała namiętnie dzienniki i tygodniki, długo w wersji papierowej, potem głównie internetowej. Komputerem posługiwała się po raz ostatni kilkanaście godzin przed śmiercią. Początkowo służył jej wyłącznie do pisania tekstów, najpierw prawniczych, później własnych. Ostatecznie stał się, wobec coraz bardziej ograniczonych możliwości poruszania się, jeszcze jednym oknem na świat. Przez okna swego mieszkania – położonego na drugim i zarazem najwyższym piętrze niedużego bloku, niestety bez windy – lubiła patrzeć na podchodzący niemal do ściany budynku las. Dzięki komputerowi oglądała cały świat, którego zawsze była ciekawa i pozostała taka do końca. Interesowało ją mnóstwo rzeczy i praktycznie o wszystkim można było z nią porozmawiać. Miała dziesiątki korespondentów, z którymi wymieniała maile, do nich potrafiła załączyć plik tekstowy lub obrazek. Przed rokiem zdołała przestawić się z dużego stacjonarnego komputera na znacznie poręczniejszy laptop, co oznaczało konieczność przejścia z liczącego prawie dwadzieścia lat systemu operacyjnego, jedyne go znanego jej dotychczas, na system najnowszy, podobnie musiała nauczyć się najnowszego edytora tekstu. Wśród dzisiejszych dziewięćdziesięciolatków mało jest chyba osób, które potrafiłyby tego dokonać.

Mimo słabnących sił i bólu powodowanego przez choroby prowadziła bardzo intensywny i pracowity tryb życia. Od śmierci męża do prawie ostatniego dnia mieszkała sama i chociaż stopniowo wymagała coraz większego

wsparcia, nie dopuszczała myśli o stałej opiece, zachowując w obrębie domu pełną niezależność. Mimo wspomnianych wcześniej artystycznych cięgot była pod wieloma względami osobą niesłychanie zdyscyplinowaną i przestrzegającą racjonalnych zasad. Kiedy lekarze zalecali jej wykonywanie ćwiczeń, robiła to bardziej niż sumiennie, już przed laty wożąc do pracy podkładkę, na której mogła się położyć. Po zoperowaniu obu stawów biodrowych zachowała w nich, dzięki systematycznej gimnastyce, ruchliwość do pozazdrosczenia przez młodsze osoby. Do końca życia dużo jeździła, przede wszystkim po Polsce, ale udało się jej zobaczyć wiele krajów, część z nich jeszcze w czasach, gdy podróże były bez porównania trudniejsze niż dzisiaj. Nie zapomnę widoku z 1964 roku, kiedy przed pierwszą rodzinną samochodową wyprawą za granicę cała podłoga w większym z dwóch pokoiów ówczesnego mieszkania była zasłana watoliną i kawałkami rozprutej czaszy jedwabnego spadochronu, a mama szła z tego dla nas wszystkich śpiwory. Potem, już w trakcie wyjazdów, świetnie dawała sobie radę i nie bała się nawet najskromniejszych warunków, jakby zahartowana w młodości na tułaczym szlaku. Może też syberyjskie doświadczenia sprawiły, że lubiła zwłaszcza cieplejsze kraje. Bez względu na zalety klimatu duchowo najlepiej czuła się i najmiej wspominała Włochy oraz Grecję. W Polsce szczególnym sentymentem darzyła Gdańsk i Wrocław, odwiedzając je wielokrotnie, zwłaszcza ten pierwszy. Tam, w kościele we Wrzeszczu, brała ślub w 1951 roku. Tam pojechała w 1952 roku by mnie urodzić w Szpitalu Marynarki Wojennej w Oliwie. I wprawdzie mój brat Janusz przyszedł na świat pięć później już w Warszawie, ale dziesiątki razy, czasami nawet parokrotnie w jednym roku, jeździła z nami do swych rodziców, a potem na ich grób. Właśnie Janusz, razem z żoną, zawiózł mamę na rok przed jej śmiercią do Gdańska, Sopotu i Gdyni. Bardzo przeżyła ów wyjazd, jakby podświadomie przeczuwając, że jest pożegnaniem drogich jej sercu osób i ważnych miejsc. Dwa miesiące przed śmiercią po raz ostatni była w sanatorium Nałęczowie, do którego jeździła już wielokrotnie, wcześniej poznawszy niemal wszystkie polskie uzdrowiska. Była szczęśliwa, mogąc korzystać z normalnego basenu, a zawsze lubiła wodę, i nic początkowo nie zapowiadało rychłego załamania. Kiedy wróciła do Warszawy w gorszym stanie niż wyjeżdżała, wierzyliśmy, iż będziemy się nią jeszcze długo cieszyć. Wychodziła już przecież z najgorszych kryzysów i mimo słabnącej kondycji wydawała się wręcz niezniszczalna, wielokrotnie demonstrując nam i lekarzom ogromną wolę życia. Tym razem wszakże jej wydawałoby się niespożyte siły wyczerpały się do końca.

Zawsze podziwialiśmy ją, a jeszcze mocniej kochaliśmy, choć zawsze za mało wobec miłości, którą obdarzała innych. Bardzo kochała swoich rodziców i wielkim wstrząsem była dla niej ich śmierć. Była wierną i kochającą żoną, matką dwóch synów, babcią trojga wnuków i prababcią dwóch prawnuków. Bardzo nam jej brakuje. I nie tylko nam, po jej odejściu odebraliśmy nie tylko od krewnych, przyjaciół i znajomych, lecz także od osób, których praktycznie na znaliśmy, liczne i szczerze wyrazy współczucia i żalu. Poświadczały, że nie tylko dla nas była osobą bliską i ważną, a przy tym niemieszczącą się w ramach przeciętności.

Pożegnaliśmy ją w świątyni na warszawskim Bemowie, która przez większość życia była jej kościołem parafialnym. To do niego, była to wówczas jeszcze drewniana kaplica, przyniosła do chrztu swoje dzieci, w nim w 2006 roku

żegnała swego męża. W ostatnich latach, kiedy nie była już na siłach dojść do stojącej dalej pod lasem figurki Matki Boskiej, tutaj często przychodziła z kijkami, zawsze zaglądając najpierw do kruchty, a potem modliła się i rozmyślała, siadając na ławce pod drzewami rosnącymi za prezbiterium. Nad wezgłowiem jej łóżka wisiał od dawna wizerunek Matki Boskiej Ostrobramskiej, w rodzinnym domu na Kresach zawsze otaczanej szczególną czcią, a zarazem patronki kościoła, który przez zieleń widziała z okien swego domu i którego dzwonu słuchała przez sześćdziesiąt osiem lat. 4 października 2019 roku zabił specjalnie dla niej.

Urnę z prochami mamy złożyliśmy w jednym z dwóch sąsiadujących ze sobą grobów rodzinnych w kwaterze A 17 na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach. Dołączyła nie tylko do męża. W grobie obok spoczywają bowiem jej ciotka i matka chrzestna Aniela Godlewska oraz jej syn „Antek Rozpylacz”. Jest tam również tablica upamiętniająca Zofię Godlewską, babkę Gruzinkę, która wypełniając wolę zmarłego na Kaukazie męża, przyjechała w 1918 roku do Polski i tu zginęła podczas powstania warszawskiego, gdy Niemcy podpalili kamienicę, w której mieszkała, jej ciała nigdy nie znaleziono. To na cześć babki Zofii mama otrzymała swe imię. Dziadkowie mamy ze strony jej matki, tak jak jej rodzice, brali ślub w Tbilisi w kościele świętych Piotra i Pawła. Dzięki przedziwnemu zbiegowi okoliczności w tymże kościele tego samego dnia, gdy odbywały się uroczystości żałobne w Warszawie, także została odprawiona msza w intencji zmarłej. Zamknęło się w ten sposób jeszcze jedno, ostatnie z kół, jakie zataczała jej długie i niezwykle życie.

Marek Machowski